

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



GUSTAW ZIELIŃSKI

KIRGIZ

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

„Dość! - dość żyłem nie sobie...

Duszno, ciasno jak w grobie

Żyć zamkniętym w ścian czterech niewoli...

Mnie tu nuda zabije!...

Ha!... tam chyba ożyję,

Gdzie powietrza, gdzie stepów do woli.

Bom na stepach się rodził;

Wiatr pustynny mnie chłodził,

Gdym na koniu biegł stada dozierać...

Ciągle widne niebiosy...

I step lśniący od rosy...

Ach!... tam tylko i żyć, i umierać.

Berkut, z gniazda gdy dzieckiem

Wzięty sidłem łowieckiem,

Sądzisz - zbratał się z tobą... człowiecze!...

O!... poczekaj... niech z wiosną

Pióra w skrzydłach podrosną,

Puść go tylko - on wie, gdzie uciecze.

Koniu! - i ty u toku

Tęsknisz, choć ci obroku

Ani wygod nie zbywa stajennych.

I ty nie tuś się chował...

Ciebie Kirgiz hodował...

Nam nie użyć w tych jurtach kamiennych.

Noc - pomyślna do jazdy...
Świeci księżyc i gwiazdy,
Biały tuman po łąkach wije się...
Śpij... nie czekaj nas, panie!...
Na dzień dobry w świtanie
Wiatr ci chyba wieść o nas przyniesie.”

* * *

Lecą - w lewo i w prawo
Mkną przedmioty tak żwawo,
Że nie poznać, dom, wzgórze czy drzewo...
Lecą - jeździec wzniosł czoło.
Spojrzał - stepy wokoło,
Przed nim, za nim, na prawo, na lewo.

Tu - skończyły się drogi...
W krąg jak zajrzysz - rozłogi
Puste, równe, faliste, szumiące.
Gdy w nich Kirgiz żegluję.
Któż mu drogę wskazuje?...
Niebo tylko przez gwiazdy lub słońce.

Lecą - któż go dogoni?...
Tylko trawa się kłoni,
Gdzie ją rumak w przelocie dotyka.
Ślad i jeździec - to chwila...
Wnet się trawa odchyła,
Jeździec przemknął - a za nim ślad znika.

Zioła, twory - w śnie drzemią.
Między niebem a ziemią
Nikt nie czuwa, nie żyje - w pustyni.
Jeździec powiódł oczyma...
Tak! - nikogo tu nie ma,
On sam - w środku tej ciemnej świątyni.

W tym czarnoksiężskim kole
Kraina mroku - w dole,
Lecą jej krańców wzrok jeźdźca nie sięga.
Kraina światła - w górze
Iskrzy w ciemnym lazurze,
Środkiem jasna przesłania ją wstęga.

* * *

Zatrzymał konia - spiął się w strzemieniu,
Rozpostarł ręce z czuciem dziecinnym, -
Aby po długim, długim cierpieniu
Odżyć powietrzem stepu gościnnym.
Jemu się zdało - czystsze i lżejsze...
A więc je chwycił z takim pośpiechem,
Jakby chciał jednym, pełnym oddechem
Objąć w pierś całe stepów powietrze.
I długo, długo, jak ten, co łaknie,
Bał się, czy jemu tchnień nie zabraknie.

* * *

Odżył. - Opuścił koniowi wodze,
A sam się rzucił po myśli drodze,
Drodze samotnej, dzikiej - a która,
Jak nić pajęcza, gdy nią wiatr miota,
Wiła się przez step jego żywota.
Jeździec był duszą - koń jej tłumaczem:
Myśl, którą jeździec drzeniem udzielał,
Koń ją pojmował i w pędy wcielał;
A niebo, ziemia były słuchaczem.
Przez dni dziecinne szedł stępym krokiem;
Pustoty dziecka znaczył podskokiem;
A w lekkich susach z nogi na nogę
Przeskakał chwile młodości błogie.
Czwałem go niosły lata młdzieńca,
Gdy rozwinąwszy skrzydeł swych loty
Puszczał się w kraje dzikiej tęsknoty;
Pędzi... i nagle kołem zakręca,
Bo na wspomnienie cierpkiej niewoli
Opuścił głowę i szedł powoli.
Lecz gra namiętnych żądz i uniesień,
Co żółci życie jak trawy jesień,
I zemsta... [zemsta...], co jak gadzina
Owija serce .. koń - chrapi, pryca...
Żuje wędzidło, pieni się... wspina...
I jak błysk, co ómy nocne rozpycha,
Sunął z kopyta... i gnał szalony
Piekielną myślą jeźdźca pędzony.

* * *

Koń już ustawał od szybkiej jazdy
I jeździec myśli zwrócił od siebie;
Zwrócił je w przestrzeń, puścił po niebie
I mówił sobie: „Cóż są te gwiazdy,
Co na niebieskim iskrząc się sklepie
Migocą różnych światel odbiciem?...
Czy to nie kwiaty na lepszym stepie?...
Czy to nie twory z ognistszym życiem?..
A nasz step tylko zasian kwiatami,
Co się tak pilnie w niebo wpatrują;
Te kwiaty pewnie będą gwiazdami
Tym, co po niebie w północ koczują..
Jak tu tchnąć miło!... jak ta przyroda
I wiecznie piękna, i wiecznie młoda.
Możeli człowiek, który ma serce,
Więzić się pośród murów ciasnoty
Mając pod stopą takie kobierce?...
Mając nad głową takie namioty?...”

* * *

Dniało... Wschód płonił się jak dziewica,
Na której blade cierpieniem lica
Wytryska nagle szczęścia rumieniec,
Gdy jej przysięga miłość młodzieniec.
Poranny wietrzyk szumiał po trawie;
W słupach się wzniosły muszki brzęczące;
Zaklekotały w dali żurawie;
A promień, którym błysnęło słońce,

Prześlizł po całej stepów przestrzeni
I na miliony rozbrył promieni.
I wszystkie krople wiszącej rosy
Ognistym życiem diamentu grały;
I wszystkie ptasząt zbudzonych głosy
W jednego hymnu ton się zlewały.
Chcąc czuć ten obraz wielki, wspaniały,
Trzeba kapłanem być tej świątyni;
Trzeba się rodzić synem pustyni.

* * *

Jeździec powitał pieśnią wschód słońca...
Z szerokich piersi nuta lecąca
Dźwięczna, doniosła jak srebrny dzwonek
Odbiła w niebo - i jak skowronek
Zawisła w górze - aż drżąca cała
Spadając zwolna tony niższemi,
Jak deszcz wiosenny zeszła ku ziemi
I gdzieś, w dalekim echu - skonała.
O, dziwna nuto pieśni kirgiskiej!...
Melancholijna - jak te płaszczyzny;
Dzika - jak krwawej zemsty pociski;
Rzewna - jak tęskność do pól ojczyzny,
Gdy cię pierś męska z siebie wylewa,
Cała natura wyęży słuchy;
Niebu się zdaje, że to step śpiewa;
Ziemi - że nuć niebieskie duchy;
A śniąc od wieka w łonie kurhanów
Dusze praocjów, naddziadów, stanów,

Słyszac znajome i bujne dźwięki
Rodzinnej, tęsknej stepów piosenki,
Budzą się ze snu; i śpiew zbłąkany
Z ust do ust echem sobie podają,
Coraz lżej... ciszej... - bo im kurhany
Starsze - tym słabiej, wolniej śpiewają,
A dźwięk ostatni staje się ciszą.
Ach! kiedyż znowu stepu ojcowie
W rodzinnej nucie, w rodzinnej mowie
Tę pieśń, co z grobów budzi, posłyszają?

II

Słońce spuszczało się do zachodu,
Jeździec nie dosięgł celu podróży;
Czuł głód i trudy. On śmiał się z głodu;
Do trudów życia przywykł za młodu,
Lecz dostrzegł znaki niechybnej burzy.
Wbiegł więc na kurhan, co niedaleko
Krył kości, całą przodków puściznę,
I przez dłoń zgiętą ponad powieką
Na otworzystą spojrział płaszczyznę.
Patrzył... lecz próżno - oku sokoła
To, czego szukał, wypatrzyć trudno,
Nikt tu nie mieszkał... tylko dokoła
Wzrok padał w przestrzeń głuchą, odludną.
Zskoczył - do ziemi przyłożył ucho...
Słuchał... czyli się co nie poruszy...
Czy szmer nie dojdzie?... Nie!... zewsząd głucho,

W stepie ni jednej żyjącej duszy!...
Wietrzył... bo się w lot przejąć spodziewał
Choć pyłek drobny ognisk koczowych...
Nic!... tylko zapach kwiatów stepowych
Mgłą balsamiczną w krąg go owiewał.

* * *

Cóż to? - czyż on się zląkł kiedy grozy?...
Wszak jeszcze małym będąc chłopięciem
Nieraz wędrowne rzucał obozy
Za obłąkanym gonić źrebięciem
Lub zbierać w tabun rozpierzchłe trzody;
Wtenczas się uczył przenosić głody;
Wtenczas, za płochą ścigając sarną,
Gdy spotkał chmurę gromową, czarną,
Wtenczas... z odkrytą piersią i głową
Oślepił się rzucał w burzę stepową.
A teraz - kiedy w pustynie wrócił
I ledwie życia zaczął kosztować,
Miałżeby podle tych ścian żałować,
Które z radością taką porzucił?...
Nie!... na kurhanie stojąc zakłękłym
Poglądał w chmury okiem niezłękłym;
I na swym koniu czekał spokojny
Jak gdyby tylko hasła do wojny.

* * *

W ciemne obłoki kryło się słońce,
Ostatni promień złocił ich końce,
W chmur się szczeliny zakradał, wciskał,

Ich szczyby ognił, w otworach błyskał;
I nim się w składy ómy gęstej schował,
W jaskrawe pręgi zachód malował.
Lecz coraz czarniej piętrząc się chmury
Tak odgrodziły od cieniów kraju
Dziedzinę światła - jak wielkie mury,
Co strzegą dawnych granic Kitaju.
Ta chwała - była straszną i piękną...
Trawy nie szemrzą, muszki nie brzękną...
Powietrze duszne, ciężkie i parne...
Ziemia przelękła... pół niebios czarne...
I tylko w dali, jak echo w górach,
Grom się rozlegał głucho po chmurach.
W pewnych odstępach - silnym podmuchem
Wicher rwał liście, kwiaty, motyle
I kręcąc nimi wiązał na chwilę
Niebo i ziemię barwnym łańcuchem;
I znowu cicho - w powietrzu sucho...
Na ziemi duszno... na niebie głucho...
Lecz wiatr, który się wzmagał i ścichał,
Coraz sił większych zdał się nabierać;
Z chmur ściany zaczął płaty oddzierać,
I te z niezwykłym pędem popychał
Goniąc przez całe niebios przestworze.
To niby okręt pchnięty na morze
Leci, a wiatru pełne ma żagle;
To ptak - w olbrzymie opatrzeń skrzydła;
To jakieś dziwne pędzą straszydła;
I to tak szybko, i to tak nagle,

Że ledwie jeździec ruszył powieką,
Już w toń ciemności nikły daleko.

* * *

Czasem w chmur przerwy gwiazdeczka strzeli,
Jak gdyby dobrzy z niebios anieli,
Widząc kipiącą nad jeźdźca głową
Pioruną burzę w łonie zawiei,
Chcieli mu spuścić pociechy słowo,
Chcieli mu posłać uśmiech nadziei.
Ale niestety!... ów promień błogi,
Co niósł anielskiej datek litości
Do jeźdźca duszy - mimo szybkości
Obłok lecący przeciął w pół drogi.

* * *

Pędzą chmury za chmurami
Coraz większym, gęstszym tłumem:
Aż ostatnia, z świstem, z szumem,
Przeświecana błyskaniami
Dudni, huczy, grzmi

Deszcz kroplami padł wielkimi...
A kwiat stepu, spragnion wody,
Chwyta usta zawiędłymi
Te powietrznych pól jagody
Rozpłynione w łyzy.

Głucho... nagle strasznym blaskiem

Cała chmura w zygzak pękła,
Step rozwidniał - ziemia jękla,
Gdy w jej łono huknął z trzaskiem
Piorunowy strzał.

I z czarnego zaraz stropu
Deszcz ulewny rzeką lunął;
Jakby w nowy dzień potopu
Upust nieba się rozsunał
I step zalać chciał.

Niebo przez pól się otwiera
I zamyka na klucz gromów;
Step wodami wyżej wzbiera;
Powódź znosi świat atomów,
Robaczków i ziół.

Odtąd błyski nieustanne -
Jakby niebo było szklanne,
Jakby z niebios Boża chwała
W strumień jasny się rozlała
Na zamierzchły dół.

Odtąd - huk już nieprzerwany.
Jakby z posad swych zachwiany
Świat się z dawnych zrębów ruszył
I zapadał, walił, kruszył
W nieskończoną toń.

A na stepie w jasną chwilę
Jeden tylko punkt ciemnieje.
Duch?... wszak stoi na mogile...
Głaz?... wszak burza nim nie chwieje...
 To jeździec i koń.

III

Gość!... gość przyjechał!... wieść ta jak goniec
Z końca aulu na drugi koniec
Leci - i wszystkich umysł zaprząta.
Gość!... gość!... to jedno tak rzadkie słowo
Całą siedzibę wstrząsa koczową.
Starzy i młodzi - każdy się krząta
I zaraz baran najtłustszy z stada
Na cześć przybysza pod nożem pada.

* * *

O! niemniej obraz był ożywiony
Poza aulem, gdzie liczne trzody
Szukały paszy u brzegów wody.
Koń jeźdźca wolno z uzdy puszczoney
Zarżał i czwałem pobiegł ku stronie,
Kędy mu w odzew zarżały konie;
Wpadł do ich środka - a całe stado
W mgnieniu skupione zbitą gromadą
Z zdziwionym wzrokiem poważnie kroczy
I przybyszowi zagląda w oczy.
Ale poznawszy z obcej postaci,

Że to nie żaden z tabunnych braci,
Konie uszyma strzygą... prychają...
Aż w końcu jakby druha poznały,
Radosnym rzeniem gościa witały.
Trzody - jak gdyby chcąc radość zdwoić
Wtórem ryczały - i psy szczekały
Długo nie mogąc się uspokoić.

* * *

W jurcie największej, wkoło ogniska
Zebrana cała ludność kirgiska
Tłumnie zajęła miejsce na ziemi.
Bij, głowa rodu, siadł na wojłoku
Szytym starownie wzory różnemi;
Gościa przy swoim umieścił boku;
A dalej kołem obsiedli drudzy,
Rodzina Bija i jego słudzy.

* * *

Ognisko, wielkim kotłem zduszone,
Siląc się dobyć ze szranków ciasnych,
Ogarnia kotła boki szernione
I wyskakuje w płomykach jasnych
Jak rój ruszonych w swym gniaździe węży,
A blask, padając w strony - oświeca
Ostre, wydatne, wąsate lica
Zawiedłych w trudzie stepowym męży
I żon ich twarze wychudłe, śniade,
O oczach lśniących, ukośnych, małych,

Co tam jak wiedmy w swych płatach białych
Snuły się - warząc w kotle biesiadę.
Blask ten od węgla i iskr lecących,
W tej mieszaninie światła rażących,
Nadaje jakieś barwy oddzielne,
Przez pół zbójeckie, przez pół piekielne,
Najbliższym kształtom. Dalsze w półcieniu
Na tle się ciemnym jurty rysują;
Jak te postaci, które w marzeniu
Nagle się jawią; a - w przebudzeniu
Chwilkę się jeszcze przez pamięć snują
I zaraz toną w zapomnień fali.
A ze ścian jurty - siodła i z stali
Kute zbroice, jak gwiazdy nocą,
Branym z ogniska światłem migocą.

* * *

Pryska... wre... szumi... kipi... - wieczera.
Jej zapach, co się w jurcie rozchodził,
Mile o zmysły gościa uderza,
Bo gość trzy doby w stepach się głodził,
Nim się czwartego dnia, przed wieczorem,
Z pierwszym koczowym spotkał taborem.
Uczta gotowa - wnet przez kobiety
Piław barani z kotła dobyty
Gospodarz stawia przed sobą - kraje...
Co tłustsze kąski bierze palcami,
Oblepia ryżem i rodzenkami
I te gościowi do ust podaje.

I zaraz służba do mis drewnianych
Nalewa kumys z naczyń skórzanych,
Który tym w stepie - czym wśród uczt pańskich
Sok wytłoczony z jagód szampańskich.

* * *

Gość jadł za czterech - bowiem domowi,
Co na wieczerzę tłumnie przybyli,
Chętni, usłudni swemu gościowi,
Wszyscy go razem z rąk swych karmili,
A gość - nie gardził gościnnym kęsem.
Znikają stopy ładowne mięsem,
Schnie w misach kumys - a w całym tłumie
Igra na twarzach uśmiech radości.
Gość chcąc pokazać, że cenić umie
Dobre przyjęcie, w prawach grzeczności
Ubiec się nie dał - bo gdy wieczerzę
Gospodarz dzieląc wkoło rozdaje,
Gość, na stepowe baczny zwyczaję,
Najlepsze kąski sam w palce bierze
I z uprzejmością, jak sąsiad bliski,
Posyła do ust młodej Kirgizki,
Lecz częściej jeszcze w jej piękne lice
Zatapia pełne ognia źrzenice.

* * *

Za kim tak jeździec oczyma strzela?...
Córka to Bija, śliczna Demela,
Szesnaście ledwie poczęła latek,

Świeża, młodziuchna jak stepu kwiatek,
Kiedy się rankiem rozwinie z pączka;
Jej kibić giętka - jej drobna rączka
Odgarnia z czoła włos kruczy, lśniący,
W siedmiu plecionkach na twarz płynący;
A zza tych wąskich, ciemnych warkoczy
Przełkniętych w perły - żywe jej oczy
Jak czarny węgiel, gdy się rozżarzy,
Siały promienie z ogniska twarzy.

* * *

Wzdłuż i wszerek przeleć całą pustynię
Od ujść Sir-Darii do Ajaguzy;
Od zapadłego Urgantu w gruzy
Do siedmiu źródeł, skąd Iszym płynie
I w całym bujnym stepie Iszyma
Równiej w piękności Demela nie ma
Ani mieć będzie - bo blask jej lica
Na wdzięki długich mrok rzuca taki,
Jak w noc pogodną pełnia księżyca
Na koczujących światła orszaki,
Bo twarz jej, której nic nie ochmurza,
Sądzisz - wśród śniegów rozkwitła róża.
A *gdy* jej uśmiech usta rozdzieli,
To zębki błyszczą tak cudnej bieli,
Że pereł sznurek zdobiący szyję
Ze wstydu między piersi się kryje.

* * *

Jeździec okiem w jej się oczy wkrada,
Tchnieniem łowi jej dziewicze tchnienia;
Rosa szczęścia z niebios zachwycenia
Na płonące jego serce pada.
I dziewica spojrzeń nie odtrąca,
Lecz je biegnie uprzedzić, powitać,
Ku nim zwraca się jak kwiat do słońca;
Z nich jak z gwiazdek chce swą przyszłość czytać:
Jak dwie wierzby skłonne sobie z młodu
Gałązkami pochwycą się, splączą...
I choć strumień dzieli je u spodu,
One w górze na wieki się łączą,
Kochankowie również się zbliżyli...
Ich źrenice zbiegły się w spojrzeniu;
I już odtąd jednym życiem żyli,
Dusza w duszę szła po tym promieniu.
O!... to nie miłość naszych salonów,
Tkań słów jedwabnych, zręcznych pokłonów
Na tle wyblakłym czczej etykiety,
Gdzie pleć obojga szuka zalety
W pokryciu przywar sztuką wabności...
Gdzie rąk ściśnienia, oczu spojrzenia,
Łezka i uśmiech, nawet westchnienia
Płacą dań zlotu, a nie miłości.
To miłość stepu!... gwałtowna, dzika,
Która dwa serca na wskroś przenika,
I taki pożar nieci wśród łona,
Jak iskra w składy prochu rzucona.

To miłość stepu!... bez tęsknic, marzeń...
Miłość chcień, które myśl żądłem drażni,
Z samych namiętnych osnuta wrażeń.
I z rozognionych tęcz wyobraźni.
To miłość stepu!... to jakieś morze
Uciech, rozkoszy, pieszczot edeńskich;
Co jednym rzutem życia bezdroże
Otacza w milion kół czarnoksięskich.

IV

Noc w swe gwiazdziste skryła kotary
Uśpioną ziemię. - W namioty ciemne,
Odziane w jakieś kształty niezemne,
Orszakiem wietrznym snują się - mary
I obsiadają w krąg twarde łoże
Śpiących Kirgizów. - Ach! wtenczas może
Myśl nieśmiertelna, drzemiąca we dnie,
Gdy jej powłoka zmysłów nie trzyma,
Przeze mgłę, co się rozplywa, rzednie,
Ucieka wyżej duszy oczyma
I tam, w nieziemskim słońcu jasności,
Widzi się cząstką każdej piękności.
Lecz gdy się ciało do ruchu zbudzi,
Czyż dusza prostych stepowych ludzi
W swoją łupinę twardą, zmysłową,
Znow powrócona, znowu zamknięta...
Czy liż ta dusza choć jedno słowo
Ze swoich nocnych widzeń pamięta?...

* * *

We śnie głębokim spał aul cały,
Sam jeździec oka do snu nie mruży,
Bo jego myśli w ciągłej podróży
W przeszłość i w przyszłość ostrzem leciały.
Bo dwa uczucia walką śmiertelną
Rwały ku sobie duszę młodzieńca.
Miłość - uśmiechem w raj ją zanęca;
Zemsta - potraça w otchłań piekielną.

* * *

Długo się w mętnych myśli tumanie
Błąkając jeździec ledwie był w stanie ..
Wysnuć nic ciągłą z życia pamiątek.
„Wszak to lat drugi płynie dziesiątek -
Rzekł - jak mnie, młode wówczas pachole,
Sprzedano w obcą, ciężką niewolę.
Rosłem - wśród szyderstw zgrai dworowej,
Na najpodlejsze skazan posługi.
Tęskniąc do swojej strony stepowej
Kląłem dzień, co mi dwoił się długi;
A gdy noc przyszła, gdy świat spał głucho,
Stawał przede mną krwawy trup ojca,
Budził mnie ze snu - i szeptał w ucho...
Leć!... mści j się!... dotąd żyje zabójca!...
Milczę... schnę... pory przyjaznej czekam...
Nadeszła!... rzucam mury... uciekam...
Jak ptak, co skrzydłem swobodnym płynie.
Lecę w rodzinne moje pustynie.

Witam step z dawna mi niewidomy;
Spotykam wichry, burze i gromy,
Aż wycieńczony od trudów, znoju
Spostrzegam wreszcie - widoku czuły,
Po tylu leciech!... pierwsze auły.
Wpadam, nie pytam, jakiego rodu,
Bo w każdym głosie, stroju, postaci
Poznaję swoich - i jak mych braci
Ściskam, całuję, łza z ocz mych tryska...
Mnie wtenczas urok jakiś czarował!...
Wszakżem zabójcę ojca całował!...
I u jednego siadł z nim ogniska...
Przeklęta gwiazda, co mnie tu wiodła!...
Przeklęta pamięć, co mnie zawiodła!...
Jam go nie poznał - bo przed mym wzrokiem,
Olśnionym nagle szczęścia widokiem,
Miłość - zwodniczą rozpięła tkanę.
I byłbym może odkrył się... zdradził...
Lecz Bij przez jedne przeszłości wzmiankę
Z lubego błędu mnie wyprowadził.
Czyż tak w przeznaczeń wryto księdze?...
Że gdy mnie straszna ściga_ powinność,
Padnę... ulegnę wdzięków potędze,
I nędzny!... od tych przyjmę gościnność,
Którym nienawiść przysiągłem wieczną!...”
Jeździec - jak gdyby broń obosieczną '
Wepchnął do piersi, tak w wrzącej duszy
Dwoistych uczuć doznał katuszy.
W jurcie mu duszno... ledwie oddycha...

Rzucił bezsenne łożo - iż cicha,
Tak, aby obok śpiących nie zbudzić,
Jak cień się przemknął zakrytym wchodem,
Sądząc, że nocnych powiewów chłodem
Potrafi ogień piersi przystudzić.
Błąkał się długo - lecz noc milczeniem
Nie uciszyła burz w jego łonie.
Gdzie szedł... nie wiedział. - Aż z zadziwieniem
Dostrzegł, że nie on sam jeden czuwał,
Bo [z] jednej jurty stojącej w stronie
Dym się otworem wierzchnim wysnuwał
I wił olbrzymim słupem w niebiosy.
Podchodzi... staje... słyszy dwa głosy...
Głos jeden wstrząsł nim - a złością drżący
Już chwycił za nóż z boku wiszący..
Lecz się opomniał... O! nie... on tylko
Chciał niewidzialnym pozostać świadkiem
Zamiarów wroga. - A więc ukradkiem
Popęłzył ku jurcie - podniósł wojłoku
I ciekawemu dał wstępny oku.

* * *

Bij siedział w głębi, długi wąs gładził
I patrzył okiem pełnym zdziwienia
Na starca, który wokół płomienia
Nożem na piasku krąg oprowadził.
Starzec dziwacznie i pstro odziany
Miał twarz surową, wzrok obłąkany,
Wziął gęsi, wszedł w koło i rzutem ręki

Dobyl z strun dzikie, ponure dźwięki.
Brząknął - i długie dawał przestanki,
Aż mu głos wybrzmiał z ostatnich ruchów;
Bo każdy z tonów roje złych duchów
Za czarodziejskie miał pędzić szranki.
Opuścił gęśle - i baczny wzrokiem
Powiódł ku jurcie - wnet rączym skokiem
Za nóż pochwycił zatknięty w ziemi
I nim, z oczyma roziskrzonymi,
Na wszystkie strony machał, wywijał
I w jedno miejsce dał pchnięć niemało.
Musiał coś dostrzec, choć się zdawało,
Że czeze powietrze tylko przebijał.
Lecz na ten widok obaj patrzący
Zbladli... struchleli... Bij pk liść drżący
W obiedwie ręce twarz chowa, wciska...
I jeździec nie śmie puścić oddechu,
By który szajtan gnany - z pośpiechu
W nim nie chciał sobie obrać siedliska.

* * *

Starzec spokojnie na miejsce wrócił,
Wziął kość barana, na węgle rzucił
I patrzył, jak jej powierzchnią białą
Ogniste rysy jeły okrywać.
Bo miał z ich liczby przyszłość zgadywać.
Lecz długo szeptał niezrozumiałe,
Wywracał oczy, kołysał głową,
Nim pieiwsze ludzkie wymówił słowo.

„Biju, gdy jesień przed nami blisko
I w kraj cieplejszy nasze ognisko
Przenosić mamy - los nam coś wróży,
Wielkie nieszczęście w naszej podróży.
Jakie?... to memu zakryte oku...
Widzę ja wprawdzie jakąś mdłą postać,
Lecz tak daleko i w takim mroku,
Że jej na jaśnią nie mogę dostać.
Kto ona, jakie knuje zamiary?...
Czekaj, możniejsze uczynię czary.
Wszak w mych pielgrzymkach po białym świecie
Trzykroć z modlitwą byłem w Azrecie.
Biłem pokłonem grobowcom chanów,
Wiem, co się tai w łonie kurhanów,
Znam ziół własności, znam zwierząt głosy;
A jeśli cisnę okiem w niebiosy,
Te gwiazd miliony, co nocą krążą,
Dla mnie jak głoski w słowa się wiążą.
Więc - całej wiedzy wszystkich sposobów,
Choćbym miał ruszyć zmarłych spod grobów,
Ruszę i wszystkich zaklęć użyję.
Aż ową postać, co mi się kryje,
Wydrę z najgłębszych przyszłości ciemnic;
Bo dla mnie w świecie nie ma tajemnic.”

* * *

Rzekł - chwycił gęśle - zrazu głos stłumiał,
Potem wciąż wzmagał i w rzutach zręcznych
Brzmiał wprawną ręką po strunach dźwięcznych,
Aż wreszcie - z taką mocą zaszumiał

Jak wichur, kiedy nagłym powiewem
Całego drzewa wzruszy szelesty.
Grze swej wtórował przeciągłym śpiewem;
Twarzy - okropne nadawał gesty.
Trupie i przyszło do kości lice
Konwulsyjnymi ruchami drgały.
Głęboko wpadłych oczu źrzenice
Na obie strony szybko latały
Lub się daleko w powiekach kryły
I tylko białkiem szklisko świeciły.
I straszno było w tym stanie szału
Widzieć - jak starzec wywiędły, suchy
Wiekem okrzeplonym członkom i ciału
Wprost mechaniczne nadawał ruchy.
I coraz pieśni piał przeraźliwsze;
Z wszystkich strun razem dobywał tony;
I w drgania, ruchy i skoki żywsze
Łamał swe członki - aż wysilony,
Jak spadłej bryły bezwładne brzemię,
Całym ciężarem gruchnął o ziemię.
Długo tak leżał nieporuszenie...
W jurcie nastąpiło głucho milczenie,
Strach - obu widzów dreszczem przeszywał;
Tylko trzask iskier z polan płonących
Rzucając światło ciszę przerywał
Minut - spokojnie w wieczność ciekących.
Nareszcie starzec ciężkim westchnieniem
Dał znak, że żyje - mało, pomału
To rąk, to głowy, to nóg ruszeniem

Zwolna ruch nadał całemu ciału.
Powstał i długo robił piersiami,
Jakby z nużącej podróży wrócił;
I z zamkniętymi ciągle oczami
Odszukał gęśli, wziął ją do ręki,
Strun z lekka trącn i przy ich dźwięku
Taką pieśń głosem słabym zanucił.

V

Dziwny... dziwny sen ja miałem!...
Biju, młodszym cię widziałem
I jam młodszy był.
A przed nami ulubiony
Stał Peligwan, koń twój wrony;
Jak pomnisz, gdy żył.

„Wsiądźcie - rzekł koń - bez obawy;
Jeżdżę nocą szukać trawy
Tam w edeński kraj.
Insze stepy, inne życie,
Insze światy zobaczycie,
Wsiądźcie” - wsiedlim dwaj.
Leciem... leciem... końca nie ma...
Ziemia niknie przed oczyma,
Nowa... nowsza błoń...
W rączym pędzie lotnej jazdy
Gwiazd sięgamy - z gwiazd na gwiazdy
Sadzi dzielny koń.

Ćmi się w oczach, gdy przez bezdnę

I otchłanie nieprzejezdne

Jeden daje skok.

A spod kopyt oderwane

Lecą gwiazdy zdruzgotane

W głąb przepaści - w mrok.

Stanął i rzekł: „Tu granica.

Patrzcie!... co za okolica?...

Co za cudny świat?...

Jaką trawą łąki słane?...

To kobierce z liści tkane

W różnowzory ład.

Patrzcie!... w blasku jak mieniący,

Stupromienny, niewiedzący

Każdy kwiatek lśni,

A w dotknięciu z listków jego

Jak z warkocza dziewiczego

Srebrna piosnka brzmi.

Patrzcie!... co ta błoń wypasa?...

Jakich koni stado hasa?...

To nad cudy cud!...

Wy, baranty sławni w świecie,

Tu spróbujcie, tu znajdziecie

Godny siebie trud.

Lecz - na dzieło kto się waży,
Bądź ostrożny - bo na straży
Czuwa księżyc sam.
Lada kwiatek zdradzić może,
Księżyc - rzuci złote łoże,
Wtenczas - biada wam.”

Tyś zsiadł... przypadł... i ukradkiem,
By nie trącić trawką, kwiatkiem,
Pełniesz... pełniesz wciąż...
I przymykasz się do siada,
Cicho - jak wilk, gdy się skrada...
Ostrożnie... jak wąż.

Jesteś w środku... arkan w dłoni,
Ciskasz... chwytasz tego z koni,
Co wodzem był stad;
Wsiadłeś... poczuł, kto nim włada...
Zarzał... ruszył... a gromada
Mknie za tobą w ślad.

Ja nadbiegam na twym wronym;
Lecim pędem tak szalonym
Jak sarny przez step.
Księżyc z jurty wyjrzał blado,
A nie widząc, gdzie jest stado,
Wbiegł na niebios sklep.

Wbiegł... zaświecił... jak obręczą
Siedmiobarwną śmignął tęczą,
Lecz nie dosięgnął nas.
A więc w pogoń naszym śladem...
Bo przez niebo poza stadem
Jasny został pas.

Lecim... lecim... w tej podróży
Strach nam nieraz oczy mruży,
Czujęm zawrót... szął...
Gdy przez otchłań, przez szczeliny
Przepaścistej gwiazd krainy
Umykamy w cwał.

To jak gdyby z gór spadzistych,
Po drożynach stromych, szklistych
Sunie - tylko stuk
Po niebiosach się rozlega,
Gdy za nami stado zbiega
W dół - na mglisty smug.

I jesteśmy w chmur przestrzeni...
Księżyc siatką swych promieni
Już nas z lekka drasł.
Tyś mu obłok w oczy cisnął...
On krwią zaszedł, klątwą świsnął,
Padł... i we mgle zgasł.

Stado nasze!... ziemia blisko...

I rodzinne koczowisko

Widać z wietrznych gór...

Wtem - mgła pęka... błyskawica,

Jakby z zemstą za księżycą,

Grzmi za nami z chmur.

Grzmi... lecz nagle kształt swój zmienia -

Niby dziecko... a w pół mgnienier

Zda się olbrzym rość...

Już nas chwyta... spojrzę w lice...

Biju! znam tę błyskawicę!...

To młodzian, twój gość!...

* * *

Umilknął starzec - Bij się zadumiał...

On ciemną piosnkę jasno zrozumiał;

Bo z pieśni wątku za jednym razem

Księga przeszłości karta za kartą

Jego pamięci stała otwartą;

Każdy jej wyraz był mu obrazem.

Przywołał w myślach cały wiek młody,

Ów wiek, gdy dzika pali tęsknica...

Jak rzucił biedną jurkę rodzica

I uszedł w stepy szukać przygody.

Tam - aż do głodnych pustyń zagnany;

Nie o przygody szło mu miłosne,

Ale o imię szeroko głośnie;

O zdobycz stadnin lub karawany.

Na wzmiankę o nim auly drżały...
Bo choć w rzemiośle baranty nowy,
Ale przebiegły, zręczny, zuchwały,
Zawsze szczęśliwe czynił obłowy.
Raz - samotrzeć! nocą prowadził
Ogromny tabun porwanych koni...
Wchodzący księżyc ucieczkę zdradził
I nie dał czasu zmylić pogoni,
Bo wnet za nimi tym samym szlakiem
Nadbiegł właściciel z swych sług orszakiem.
Wszczęła się bitwa - krzyki i strzały
Uciekających zewsząd witały;
Bij się nie uląkł, lecz natarł męsko
I bój nierówny skończył zwycięsko;
Sam wódz przeciwnik legł z jego ręki...
Słudzy, śmierć pana skoro ujrzeli,
Na wszystkie strony w stepy pierzchnęli.
Pozostał tylko chłopiec maleńki,
Który z zabitym rozstać się wzbraniał
I trup ojcowski sobą zasłaniał.
Mimo łez, krzyków... Bij wziął chłopczyne
I sprzedał kupcom w obcą krainę.
Odtąd - zaniechał barant rozboju,
By swoich zbiorów użyć w pokoju.

* * *

Wiele ubiegło czasu w milczeniu,
Nim je Bij przerwał: „Starcze! daj radę,
Co ja mam począć w takim zdarzeniu?”
Starzec zachmurzył swe lica śniade

I rzekł: „O Biju! w sercu młodziana
Powinność ojca krwią zapisana,
Krwia tylko z serca może się zglądzić.
Cóż chcesz?... cóż ja ci mogę poradzić?..
Gościem jest twoim... gość!... święte słowo!..
We dnie i w nocy nad jego głową
Czuwać winieneś - wszak życzysz sobie,
By kiedyś drzewo na twoim grobie
Życzliwą ręką dzieci wsadzone
Nie schło, lecz ciągle rosło zielone.
Więc - nie wyzywaj na próżno burzy;
Bądź baczny - wnet ci sam los usłuży...
Widziałeś... bośmy wszyscy widzieli,
Jak go urzekał wzrok twej Demeli;
Dozwól - niechaj go czcza mara zwodzi;
Nie mów, że pierwsi z kirgiskiej młodzi
Z dalekich stepów szła do cię swaty
Dając za córkę kałym bogaty.
Łudź go - niech ogniem żądry goreje...
Zapomni zemsty karmiąc nadzieje...
A kiedy jurty zwinąwszy nasze,
By zająć dolin żyźniejszych paszę,
Odkoczujemy - na step rodzinny...
Staraj się zręcznie za krąg gościny
Nierozważnego młodzieńca zwabić;
A wtenczas... wtenczas... - rzekł z cicha - zabić.”

VI

Za danym znakiem - auły zdjęto,
Zebrano sprzęty - jurty zwinięto
I na dwukolne złożono wozy...
Zwolna - ruszają ciężkie obozy;
Step się ożywia, pstrzy i zaludnia.
A nad taborzem - lotnymi pióry
Dzikiego ptastwa wędrownie chmury
Szybują z krzykiem w stronę południa.

* * *

Liczne wzdłuż równin ciągną się stada.
Na czele idzie owiec gromada
Mocnych, wypastych i ciemnej wełny,
U każdej kurdiuk tłustości pełny.
Dalej - rozrosły buhaj na przedzie,
Czerwono-bury z pręgi czarnemi,
Zwolna, schylając łeb swój ku ziemi,
Ryczące stado za sobą wiedzie.
Dalej w odstępach - tu dojne klacze,
Tam źrebiąt tabun igra i skacze;
Owdzie poważne, brodate kozy,
Wielbłądy juczne, ładowne wozy -
Pod baczynym okiem, co wszędy czuwa,
Cały się tabor w stepy posuwa.

* * *

Ludność kirgiska - starzy i młodzi,
W spiczastych czapkach - lśniących jerhakach;
Kobiety w czadrach i pstrych kołpakach;
Dziewki i dziatwa, co ledwie chodzi.
Strojno, bogato - wszyscy na koniach.
Młodzież harcuje z boków po błoniach.
A całej hordy zgiekliwe pienie,
Ryk stad przeciągły - i koni rzenie,
I głos chrypliwy skrzypiących osi
Echo daleko w stepy roznosi.

* * *

Ludno, wesoło w pustej krainie.
Tu słyhać pieśni, tam łowców krzyki;
Z leż wypłoszony czujny zwierz dziki
Z dala przed gwarem pierzcha w pustynie;
Łowcza go zgraja ściga i szczuje
Lub ugłaskanym orłem poluje.
Cokolwiek pomknie na step bezdrożny,
Czy lotna sarna, czy wilk ostrożny,
Który się milczkiem z łozy wykrada;
Już w pogoń za nim berkut puszczoney
Leci, dopędza, na grzbiet mu siada,
Bije skrzydłami, ściska w swe szpony
I krzywym dziobem wydiera oczy.
Z bólu i strachu przełękłe zwierze
Poty na miejscu kołem się toczy,
Aż który z łowców pędem przyskoczy
I ze szpon orła zdobycz odbierze.

Tymczasem inni - pomykające
Nahajką z konia biją zające.

* * *

Sunie się tabor - a przodem bieży
Kilku zwinnie j szych z grona młodzieży;
Dziwią zręcznością - próbują siły;
Bawią natarciem udanej bitwy;
W końcu do widnej w dali mogiły
Stawają rzędem zacząć gonitwy.
A kiedy konie czekając znaku
Już niecierpliwe rwą się do biegu,
Na dzielnym, stepnym pędząc rumaku
Młoda dziewczyna staje w szeregu.
Na znak - puszczają konie - i lecą...
Lecz kroków ledwie sto ulecieli,
Wiedziony wprawną ręką kobiecą
Wyprzedza wszystkie rumak Demeli.
A jeśli który z współzawodników,
By ją zatrzymać, posunie dłoni...
Dziewczyna w pędzie zwija się... broni...
Fletnią zuchwałość karcąc młodzików;
I przodek bierze - i w każdej chwili
Coraz się od nich odsuwa dalej.
Niektórzy - konie nazad zwrócili;
Inni - w połowie mety zostali;
Jeden ją ścigał, konia nie szczędził,
Zbliżał się... równał... aż ją dopędził,
A kiedy wbiegli na kurhan razem.
Tak ją zaklinał czułym wyrazem:

* * *

„Demelo!... słuchaj!... dłużej nie zwlekaj...
Teraz czas... teraz ze mną uciekaj.
Ja ci przysięgam... jak Allah w niebie,
Dla ciebie jednej - tylko dla ciebie -
Zrzekłem się mojej zemsty - na wieki!...
Tu już gościnnej dla mnie opieki
Nie ma - nadbiegną.., patrz... niedaleko...
I bezbronnego w sztuki rozsieką...
Jeżeli nie chcesz, by ta mogła
Krwiają moją w twych się oczach zboczyła,
Uciekaj!... czas jest... ujdziem pogoni,
Noc wkrótce swym nas cieniem osłoni.”
Mówił wzruszony i ręką drżącą
Chwycił jej konia cugle puszczone,
I tak w pół chcącą i w pół niechcąca
W największym pędzie powiódł w tę stronę,
Kędy zarośle, jak modra wstęga,
Kończyły w dali skraj widnokręga.

* * *

Wtem - trzech się konnych z tłumu oddziela.
Widać, że pogoń - bo w ślad za niemi
Pędzą, zaledwie tykając ziemi.
„Patrz!... patrz!... mój ojciec!” - krzyknie Demela
„Nie bój się, droga - jeździec odpowie -
Odstęp dość znaczny, a słońce nisko...
I konie dzielne... i krzaki blisko...
To Bij nieprędko o nas się dowie,

A jutro!... już nas nikt nie rozdzieli!...”

Zwisnął - i na wschód jak wiatr lecieli.

* * *

Jedni i drudzy mkną stepem chyżo;

Lecz raz rzucony między nich przedział

Nie uległ zmianie. Kto by powiedział,

Że się do siebie nigdy nie zbliżą.

Wnet - słońce zaszło, wiatr wiał zachodni.

Coraz to ciemniej, coraz to chłodniej;

Zmierzch padł na stepy - przez chwilę jeszcze

Jeźdźcy jak plamki czernią się w mroku;

I coraz, coraz nikną we wzroku...

Tylko spod kopyt trawa szeleszcze.

* * *

„Stójcie - Bij krzyknął do swej drużyny -

Już nic nie widzę - noc taka ciemna...

Dalsza gonitwa całkiem daremna,

Wszak co najlepsze konie z stadniny

Mają pod sobą. - Droga szczęśliwa!...

Niech lecą!...” - wrzasnął z dzikim uśmiechem;

A step szyderczym powtórzył echem:

„Niech lecą!” - „Jak to?... - Bij się odzywa -

Mam wrócić?... wrócić... i żyć zhańbiony?...

O nie!... wiatr z dobrej wieje nam strony...

Puścim za nimi takie pogonie,

Od których żadne nie ujdą konie.

Wy dwaj - jak można ode mnie dalej

W prawo i lewo ruszcie - a żywo,
Macie przy sobie krzemień, krzesiwo...
Niechaj z was każdy stopy zapali.”

* * *

Wnet na trzech punktach stal iskry ciska...
Iskry w garść suchej trawy ujęte,
Podmucha wiatru silnie rozdęte,
Trzy śród przestrzeni tworzą ogniska,
Co tak pełzają promieńmi mdłemi,
Jakby trzy gwiazdy legły na ziemi.
Ogień się rzuca na zeschnięte zioła,
Wiatr go rozdyma, miota, roztrąca...
I już się palą trzy wielkie koła,
Jak gdyby z niebios spadły trzy słońca.
Z tych kół ognistych przez podmuch świeży
Żar się wylewa w jasnych potokach;
A każdy potok w step czarny bieży
W liniach, zygzakach, wężach, przeskokach.
Już wichrem gnane w przestwór daleki
Z trzaskiem i z sykiem płoną trzy rzeki,
Płyną... wzbierają falą płomieni;
Niebo się krwawą łuną czerwieni.

* * *

„Luby!... patrz!... jak się niebo oświeca...
Czy księżyc wschodzi?...” - „O! blask księżyca,
Droga Demelo, nie takiej mocy...
To pewnie błyszczący zorza północy.”

* * *

Ogień - z wściekłością ciągle rosnącą,
Coraz się szerszym korytem leje -
Bucha... iskrami sypie... szaleje...
I już trzy rzeki z boków się łączą,
I straszny pożar w lewo i w prawo
Płomienną, długą toczy się lawą.
Zbudzony światłem, z pobliskich krzaków,
By dzień powitać, leci rój ptaków..
Leci... na skrzydłach waży się - śpiewa...
I milknie - w paszczy otchłani wrzącój...
Paszcza wciąż zieje - a krzaki, drzewa,
Gdy je obejmie oddech palący,
Stawają w ogniu i jak gwiazdami
Chwilę złotymi trzęsą liśćmi...
Przeszło... i drzewa w popiół się sypią...
A- jako fale wzburzone kipią,
Tak hucząc leci powódź płomieni,
Niebo się coraz krwawiej czerwieni.

* * *

„Luby!... jak widno!... czyż to być może,
By tak okropnie świeciło zorze?...
Patrz!... jak za nami błyska czerwono!”
„Ha!... - krzyknął jeździec - to stepy płoną!”
I nim od ognia oczy odwrócił,
Zmienił kierunek i w bok się rzucił.
„O, moja droga! - jak zajrzę okiem,
Tak wszędzie pożar... pasem szerokim

Przez całe stepy zdaje się płynąć...
Ale się nie trwóż... miej więcej męstwa...
Oby nam tylko prąd ognia minąć,
Wyjdziemy zdrowo z niebezpieczeństwa...”

* * *

Lecą... wiatr świszcząc... coraz gęstszymi
Step się kłębamii dymu ocienia.
A dym jak goniec, gdzie dotknie ziemi,
Rozwija czarny sztandar zniszczenia.
„Demelo!... konie nierówno biega...
Twój się opóźnia... śpiesz... czasu nie ma...
Allah! twój pada!... przesiądź na mego...
Zbawienie blisko... patrz, przed oczyma
Las... byle tylko stanąć w tym lesie,
Wiatr od nas pożar bokiem przeniesie!...”

* * *

Rzekł - Demela lekko na koń wsiada;
Jeździec ręką wpół kochankę chwyta,
Pędzi konia... wzrokiem ognisk bada...
I drży... a koń, jeździec i kobieta,
Kłębem dymu jak chmurą owiani,
Falą ognia jak piekłem ścigani,
Umykają z największym pośpiechem.
Wtem - wiatr z ognisk takim żarem wionął,
Że duszącym objęty oddechem
Padł koń drugi i ducha wyzionął.

* * *

Jeździec groźno wznosił oczy do nieba,
Twarz mu dzikim pałała wyrazem -
„Luba!... luba!... tu rozstać się trzeba!...
Śmierć już blisko!... umierajmy razem!”
I zbłąkany wzrok topiąc w jej lice
Dodał głosem najświętszej żalości:
„Och!... już nigdy, nigdy nie nasycę
Ani zemsty, ani mej miłości...”
Jak dwie wierzby przy jednym strumieniu
Gałązkami ujmą się, pochwycą...
Tak młodzieniec z stepową dziewczyną
W tym ostatnim, smutnym uściśnieniu
Pocałunkiem usta do ust złąli;
Duch się z duchem, tchnienie zbiegło z tchnieniem,
Pocałunkiem i tym uściśnieniem
Tu - na całą wieczność się zegnali.
I przeszło przez nich morze płomieni...
Przeszło... a w miejscu zgasłych pożarów
Dziś - znowu cisza pośród obszarów
I jeszcze bujniej step się zieleni.